

Agata Patralska-Obarewicz

Wałbrzyskiem

Pod wspólnym niebem



Projekt współfinansowany ze środków
Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich
NOWEFIO na lata 2021-2030



Szanowni Państwo, Drodzy

Wspólnie tworzymy każdego dnia wspomnienia. Pozwalają nam one określić swoją tożsamość, rolę i miejsce w otaczającym nas świecie, nadać życiu sens.

Zapraszając Was do spotkań „Pod wspólnym niebem”, które odbywały się w ramach projektu „Wygramy to miejsce!” otulaliśmy się wspomnieniami o wielokulturowym Wałbrzychu. Wraz z naszymi gośćmi, przedstawicielami mniejszości niemieckiej i greckiej, reprezentantami społeczności repatriantów i reemigrantów, przenosiliśmy się do czasów, w których Wałbrzych był barwnym kalejdoskopem ludzkich biografii, ziemią obiecaną dla tych, którzy przyjeżdżali tu w poszukiwaniu nowego życia i dla tych, którzy tej ziemi opuścić nie chcieli, a ze względu na swoją różnorodność kulturową i językową nazywany był wieżą Babel.

Gościliśmy w domach, szkołach, zakładach pracy a nawet na Zamku, uczestniczyliśmy w zabawach, tańczyliśmy greckie tańce i śpiewaliśmy żydowskie pieśni, czekaliśmy na kolejny pociąg, świętowaliśmy narodziny, wesela i żegnaliśmy tych, którzy odchodzili. Wszystko za sprawą opowieści.

„Pod wspólnym niebem” to ludzkie historie, doświadczenia, marzenia, cierpienia, nadzieje, radości, to opowiedziane wspomnienia, które zostały nam przekazane jak najcenniejszy skarb, żeby nie zapomnieć...

Każdy z naszych gości, niezależnie od tego, skąd przybył i jakie były powody, że zamieszkał bądź został w tym mieście, na nasze pytanie „co możemy zrobić, żeby ocalić od zapomnienia ich rolę w budowaniu wielokulturowości naszego miasta, ich obecność w powojennym Wałbrzychu, ich wspomnienia?” odpowiedział nam „spotykać się, rozmawiać, wspominać”.

Usłyszeliśmy wspomnienia, które przybrały postać łagodnej nostalgii i którymi otuliliśmy się jak miękkim kocem, zachowując w pamięci ciepło, atmosferę, wyjątkowość chwili i obrazy, które już zawsze będą nam towarzyszyć.

Pod wspólnym niebem w powojennym Wałbrzychu były domy, tętniące tymi opowieściami, tajemnicami, domy, które pachniały grecką kuchnią, kawą parzoną przez polskie Francuzki, smakowały pierogami Wschodniaków i ciastem z kruszonką pieczonym przez Niemki, szczęśliwe, że nadal mieszkają tu, w cieniu ukochanego Hochwaldu nazwanego przez nas Chełmcem. Pod wspólny dachem mieszkali ci, którzy dziękowali Bogu za przetrwanie i którzy wyznawali innego Boga a niekiedy, skrywając swoje tajemnice i przeżyte traumy, zaprzeczali jego istnieniu. Domy te brzmiały dziesiątkami języków, dialektów, akcentów, które były niczym muzyka, którą rozumie tylko kompozytor i jego orkiestra.

Wielu z nas pielęgnuje własne wspomnienia tego wyjątkowego życia pod wspólnym niebem, niektórzy dowiadują się o nim tylko z opowieści innych.

Zapraszamy Was dziś na spotkanie utkane ze wspomnień małej dziewczynki, dla której wałbrzyska ziemia i wałbrzyskie niebo stały się domem...

To zaproszenie do naszego wielokulturowego domu jest dla nas szczególnie ważne.

Fundacja Via Salutis oznacza „drogę do zdrowia”.

Jesteśmy przekonani, że to właśnie jest właściwa droga do osiągnięcia równowagi i dobrostanu, dokonania pozytywnego bilansu życia, zaakceptowania tego, co się zdarzyło i pogodzenia się z tym, że wszystko było po

coś. Nasze rozmowy z drugim człowiekiem, zapisy ważnych momentów, zachowywanie kadrów z tych spotkań, angażują nasze zmysły i emocje. To droga podczas której budujemy każdego dnia szczęśliwe wspomnienia, która prowadzi nas do siebie w życzliwości naszej wielokulturowej historii.

Region Wałbrzyski a w szczególności Wałbrzych ma swoją piękną kartę historii jako miasta wielokulturowego. W projekcie „Wygrajmy to miejsce!” sięgnęliśmy po tę wielokulturowość, przyjrzeliśmy się jej, zaprosiliśmy świadków czasu, przedstawicieli różnych kultur, tworzących międzykulturową mozaikę naszego regionu, by odbyć tę podróż wspólnie.

Wypełniając zobowiązanie wobec naszych Gości – świadków czasu, żeby opowiadać, spotykać i pamiętać, przygotowaliśmy dla Was w bloku „Pod wspólnym niebem” publikację autorstwa Agaty Patralskiej – Obarewicz, „Wałbrzyskiem”, która, mamy nadzieję, będzie Wam towarzyszyć podczas spacerów po wielokulturowym Wałbrzychu, a odbywając je nieraz zobaczycie w wałbrzyskich kamienicach i podwórkach miejsca, w których mogły toczyć się takie historie jak ta...

Życzymy Wam dobrej przygody i lektury i zapraszamy do towarzyszenia nam na naszych projektowych szlakach z Fundacją Via Salutis.

Alicja Przepiórska Ułaszewska
Autorka i koordynatorka projektu „Wygrajmy to miejsce!”

Paweł Ułaszewski
Prezes Fundacji Via Salutis

Projekt „Wygrajmy to miejsce!” realizowany przez Fundację Via Salutis jest współfinansowany ze środków Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich NOWEFIO na lata 2021-2030”. Został objęty honorowym patronatem Prezydenta Miasta Wałbrzycha dra Romana Szełemeja.

„Wałbrzyskiem”

Miałam dziesięć lat, kiedy pierwszy raz przyjechałam do Wałbrzycha. W lipcu. Na wakacje do moich ciotek. Mieszkały na Nowym Mieście, w poniemieckiej kamienicy, gdzie ubikacje były nie w mieszkaniach, a na półpiętrach, na korytarzu. Jedna ubikacja służyła dwojgu sąsiadów z jednego piętra. Zamykana na wspólny klucz. W kamienicy było sześć pięter, piwnica i strych. Piwnica to węgiel. Strych to wiszące sterty suszącego się prania. Postaram się opowiedzieć o wszystkich zapamiętanych obrazach.

Mieszkałam z rodzicami w Krakowie. Mój tato pracował na trzy zmiany w ogromnej hucie i prawie nigdy nie było go w domu. A kiedy wracał, to spał. Moja mama była najprawdziwszą aktorką i występowała na scenie w teatrze dla dzieci. Znała wszystkie bajki świata. Gdy nie grała, powtarzała na głos tekst, robiąc obiad, prasując koszulę, pastując podłogę. Przed premierą obie znałyśmy tekst sztuki na pamięć. Wspólnie czekałyśmy na premierę jak na Świętego Mikołaja. Rodzice nie mieli dużo pieniędzy, a raczej po prostu ich nie mieli. Zapamiętałam, gdy pewnej nocy ojciec smutnym głosem powiedział do mamy, jak mu przykro, że nie stać ich na wysłanie mnie na kolonie nad morze. Że pozostaje im jedynie wysłać mnie do Wałbrzycha do jego siostry i jej przyjaciółki. I że zawsze to lepiej, niż w wakacje w centrum Krakowa. Skoro tata mówił o Wałbrzychu tak smutnym tonem, byłam przekonana, że wakacje u ciotek będą smutnym obowiązkiem. Ciocia Mirka była taty siostrą. Nie miała męża. Zaraz po wojnie, kiedy sybiryacy dostawali przydział mieszkania, zamieszkała na tym samym piętrze z Leną, młodą pielęgniarzką. Nie wyszły nigdy za mąż i nigdy przez wiele lat nie wyprowadziły się ze swojej ukochanej kamienicy. Po latach przebiły ścianę między swoimi mieszkaniami, wstawiły dwuskrzydłowe drzwi i jak jedna rodzina zamieszkiwały jedno piętro, czyli posiadały wspólnie ubikację.

Miałam bardzo cienkie warkoczki. Uszy odstawały tak bardzo, jakby miały zaraz zaklaskać. Kiedyś usłyszałam, jak nauczycielka od przyrody zapytała woźną w szkole, czy przypadkiem nie widziała, czy wyszłam już do domu. Kiedy nie zostałam skojarzona, nauczycielka opisała mnie: brzydka i zahukana. I to zapamiętałam najbardziej i na całe życie. Pewnie tak też odbierały mnie koleżanki, bo ich nigdy nie miałam. W pewnym momencie to nawet zapomniałam czy tęskniłam za ich towarzystwem. Bardziej chciałam mieć psa, ale tata i mama nie pozwolili. Zbyt małe mieszkanie, daleko od parku, zbyt długo sama w domu. Nie umiałam nawet wyprosić. Szybko skapitulowałam.

Tata przywiózł mnie do Wałbrzycha na początku wakacji. Cioce czekały na peronie na stacji Wałbrzych Główny. Zauważyłam jej już z okna zatrzymującego się pociągu. Skojarzyły mi się z kolorowymi ptakami, miały na sobie nietypowe jak na tamte czasy ubrania. Barwne swetry zrobione na drutach, kapelusze, jeden nawet z piórami i co najważniejsze, czekały z psem przy boku. Pomyślałam, że może nie będzie tak smutno.

Poniemiecka kamienica ciotek położona była w mieście, ale pod lasem. Czy to nie wspaniałe położenie domu? Mieszkało w nim w sumie dwanaście rodzin. Nigdy potem w nie spotkałam tak interesujących i pięknych ludzi. Opowiem wam o nich tak jak o moim Wałbrzychu, o tamtych wakacjach, najpiękniejszej przygodzie mojego życia...

Miałam wrażenie, że dom nigdy nie zasypia. Odgłosy krążyły tam o każdej porze dnia. Jeszcze inne nocą. W dzień oczywiście: mieszkańcy pracujący na trzy zmiany jak mój tata, emeryci i dzieci, psy, koty, kanarki. W komórkach za domem króliki. Nad komórkami gołębie. A na strychu dwa duchy. Młoda Kamińska w sukni ślubnej i stara Romanowa z kijem na kury. Nie zmyślam. Mówiła dwa razy pani Babcia z parteru, ta na wózku bez nogi, że to prawda jak Boga kocha! I wszyscy wieczorem, przy trzepaku, jak słuchaliśmy, pijąc kompot sąsiadki z trzeciego piętra, z gruszek z jedliny, wierzyliśmy tak bardzo, że bardziej się nie da.

Na parterze mieszkał Pan Hans. Niemiec. Inżynier. Po wojnie został w Wałbrzychu. Znał kopalnie jak własna kieszeń. Dlatego zaproponowali mu posadę. Był ewangelikiem. Odwiedzał innych Niemców, a inni Niemcy odwiedzali jego. Często siedząc na metalowej karuzeli przed oknami, patrzyłam jak podlewa kwiatki. Zastanawiałam się, czy jest taki sam jak Hitler i czy jak będzie kiedyś wojna, to będzie zabijał Polaków. Ale on tak ładnie mówił do sąsiadów, królików, gołębi, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, że jest złym Niemcem.

Na parterze ubikację z Niemcem dzieliła babcia Niura. Na wózku. Miała złoty ząb i wiedziała wszystko. Była najmądrzejsza na świecie. Urodziła się w Moskwie i znała odpowiedzi na wszystkie pytania świata. Nie miała nogi. Zapytałam dlaczego. Cukrzyca. Wtedy myślałam, że najadła się cukierków i z tego przejedzenia ucięli jej nogę. Od tamtej pory nie przesadzałam już ze słodyczami, nie chciałam tak żyć jak babcia Niura, chociaż chciałam być taka mądra jak ona.

Najgłośniejszą rodziną i według mnie najciekawszą była rodzina Cyganów. Mieli fajne życie. Nie chodzili do pracy, nie chodzili do szkoły, często śmiali się i często tańczyli. Nawet na pogrzebie swojego dziadka, i to na jego grobie. Mieszkali z kurą. Co tydzień z inną. Nigdy nie gasili światła w kuchni. A jak kłócili się, to słychać było tłukące się talerze. Najgłośniejsza była mama bliźniaków. Dziewczynka nie wyglądała na Cygankę. Prosiła mnie często, żebym opowiadała jej o Krakowie i smoku Wawelskim. Znudziło mnie to w końcu. Ciocia kupiła od ich ojca wielką patelnię. Nie chciał od niej pieniędzy tylko węgiel na zimę.

Ciotki moje były jak siostry. Chociaż nigdy siostrami nie były. Ale ciocia Mirka powiedziała, że czas i życie sprawiły, że stały się jeszcze bliższe niż rodzeństwo. Ludzie mówili na nie stare panny. Dla mnie nie były takie stare. Ale one same często powtarzały te słowa, śmiejąc się do siebie. Psa znalazły w lesie. W starej oponie, miał zaledwie kilka tygodni. Był zwinięty w supeł z zimna i dlatego tak też go nazwały. Supeł był wiecznie głodny i spał z łapami wyciągniętymi do góry. Szczekał na kominiarza, listonosza i na odgłos nadjeżdżającej śmieciarki.

Na drugim piętrze mieszkał milicjant Tomek. Miał piękną żonę i sześć kanarków. Kiedy był na służbie, ona w kolorowym szlafroku z futerkiem śpiewała arie operowe i zakręcała włosy na wałki. Siadywała przed poniemiecką toaletką i przy otwartym balkonie demonstrowała swoje śpiewy. Firanka często wirowała wraz z głosem, a gospodarz domu w tych chwilach opierał się o framugę bramy i zapalał papierosa, delektując się chwilą. Uciszał wtedy koty, psy, dzieciaki i cygankę. Słuchał śpiewu jak nabożeństwa. Ciocia Lena powiedziała mi w sekrecie, że żona milicjanta była kiedyś więźniarką obozu koncentracyjnego, ma tatuaż na ramieniu, przeprowadzano na niej eksperymenty medyczne. Urodziła się w Wilnie. Wiem, co to były eksperymenty medyczne. Moja babcia opowiedziała mi historię aspiryny. Dosyć dobrze to rozumiałam jak na swoje dwanaście lat.

Moją najbliższą koleżanką stała się Sofia. Jej tata był grekiem i dlatego miała kruczoczarne włosy. Sofia pierwsza przywitała mnie na podwórku przy kamienicy. Tak bardzo ucieszyła się z mojej wakacyjnej wizyty, że już pierwszego dnia zaprowadziła mnie w tajemnicze miejsce w lesie. Do mauzoleum. Ściszone głosem opowiadała, że sam Hitler tam spacerował. I to Sofia pierwsza powiedziała mi, że jestem bardzo ładna i że jej mama też kiedyś miała piegi i odstające uszy, ale wszystko się zmieniło z czasem i u mnie też zapewne uszy w końcu oklapną lub schowają się do tyłu. Bywały takie ciepłe soboty, kiedy Sofia zabierała mnie na ogniska, gdzie po grecku śpiewali nostalgiczne pieśni i częstowali się ciastem i owocami. Sofia powiedziała, że jej tato bardzo tęskni za Grecją i że ona jak dorośnie wyjedzie do swoich ciotek, bo są tak samo fantastyczne jak moje w Wałbrzychu. Wiele razy wyobrażałam sobie jak odwiedzam ją w tym ciepłym kraju i pływamy razem w lazurowej wodzie przy piaszczystej plaży pełnej muszelek.

Na piątym piętrze było zawsze gwarno. Bracia Jakimenko. Sami synowie. Mali i duzi. Ich pies jamnik, świnka morska i nad komórkami ich gołębie. Dziadek chłopców godzinami przesiadywał z tyłu kamienicy w drewnianej altance i tresował gołębie. Ciocia Mirka twierdziła, że kocha te ptaki bardziej niż żonę i synów. Kiedy mówiłam do niego dzień dobry, zawsze odpowiadał komu dobry temu dobry. Było mi go szkoda, że ma niedobry dzień każdego kolejnego.

Raz w tygodniu na wozie z koniem przejeżdżał przez Nowe Miasto Ukrainiec Wasyl. Krzyczał na całe gardło, że zbiera stare szmaty i garnki. Często kobiety znosiły do niego tobołki. Biegłyśmy co sił do konia i drapałyśmy go po szyi. Babcia Niura specjalnie zagadywała Wasyla by dłużej postać na naszym podwórku, widziała nasz błysk w oku. Konia nazwałyśmy Lolek i przysięgłyśmy sobie, że jak urośniemy, odkupimy konia od Wasyla. Zapytałyśmy, ile musimy uzbierać, ale nigdy nam nie chciał odpowiedzieć. Uśmiechał się tylko z babcią Niurą.

Nie było ciepłego wieczoru, by mieszkańcy kamienicy nie zasiadali wieczorem na ławeczkach, w altanach, na trawnikach pod oknami. Stukały szklanki z kompotem, unosił się zapach papierosów, słodkich śliwek, gruszek które w ciągu dnia pospadały na dachy komórek i garaży. Wiedziałam, że jak tylko przeminie sierpień, wrócę do Krakowa jak szara myszka...

Nie potrafiłam tylko polubić się z Katarzyną. Mieszkała na piętrze z milicjantem. Jej ojciec był francuzem i z ich mieszkania często słychać było francuskie piosenki puszczone z płyt winylowych. Mama Katarzyny zmarła na raka rok wcześniej. To była smutna rodzina, rzadko rozmawiali z sąsiadami. Odwiedzała ich babcia, jakieś ciotki. Kasia miała piękne ubrania, zawsze nienaganny warkocz i zawsze smutną minę. Gdyby mi umarła mama, też zapewne nie chciałabym uśmiechać się przez trzysta lat... Ciocia Mirka powiedziała, że rodzina jej taty, z samego Paryża wysyła im paczki pełne rarytasów, ale to nie zastąpi im tej ogromnej dziury w sercu po stracie mamy i żony. Tata Katarzyny też pracował w kopalni, czasami miałam wrażenie, że każdy w Wałbrzychu pracuje w kopalni, a na pewno każdy ma w rodzinie kogoś, kto tam pracuje.

Najbardziej jednak chcę Wam opowiedzieć o moich Ciotkach, ukochanych kobietach mojego życia, nie licząc najpiękniejszej mojej mamusi. Ciocia Mirka nie chodziła do kościoła jak mój tata. Minęło wiele czasu zanim opowiedziała mi o swoim dzieciństwie, moich dziadkach, o swoich pragnieniach i o tym, co odeszło i nigdy nie wróci lub tym, co niespełnione. W tamten upalny czwartek, gdy stara Cyganka goniła z wałkiem do ciasta swoje wnuki, które zjadły wszystkie parówki i ukryły się za komórkami z królikami, ciocia wyciągnęła wielki album rodzinnych zdjęć. Pierwszy raz zobaczyłam Żydów z pejsami, migawki z Palestyny, z Łodzi. Nie potrafiłam tego wszystkiego połączyć z dziadkami, ojcem, ciocią. I wtedy dowiedziałam się, że mój dziadek z babcią Ciocią Irką wykradli z łódzkiego getta, zrobili wszystko, by nie odeszła w nicłość jak cała jej rodzina. Ciocia Mirka przyniosła do nowego życia bagaż w jednej walizeczce: album zdjęć rodzinnych, zegarek ojca, lustro mamy, adres rodziny w Palestynie. Ciocia Mirka kochała moich dziadków najbardziej na świecie. "Marysiu, a bez Ciebie żyć nie mogę." "A ja bardziej ciociu Ciebie kocham." I śmiałyśmy się, by zaraz mocno przytulić. Po tych rewelacjach zaprowadziła mnie na cmentarz żydowski. Często ją prosiłam by mnie tam zaprowadzała. Zapytałam, czy już się znudziła tym samym miejscem. "Ależ nie nudzi mnie to absolutnie, możemy tu przychodzić, kiedy tylko chcesz." Ależ ją kochałam.

Ciocia Lena przybyła do Wałbrzycha z Borysławia. Miała wielu znajomych w Wałbrzychu z tamtych terenów. Oczywiście często górników. Ale i tak nie znalazła sobie wśród nich męża. Ciocia Mirka mówiła, że to dlatego, że była kolczasta jak jeż... I uśmiechały się do siebie jakby potwierdzając tę teorię. Ale ja w nią nie wierzę, bo obie miały ogromne, ciepłe oczy i serca, i każdy na ich widok podskakiwał z radości. Ciocia Lena za to chodziła do kościoła codziennie, wieczorem odmawiała różaniec a w jej sypialni na obrazach stali na baczność chyba wszyscy święci tego świata. Ciocia Lena miała bardzo wiele kwiatków a tym samym doniczek. Miałam wrażenie, że całe życie przesadza kwiatki, obcina szczepki, podlewa, rozmawia z roślinami jak z ludźmi. Mama mówiła, że ma rękę do kwiatów i nawet z kija od miotły urosnie jej palma.

Często odwiedzała moje ciotki Anna, aktorka z teatru żydowskiego. Piły wino, które robiły same i planowały wyjazd do Palestyny. Ciocia Lena siedząc pod oknem i słuchając rozmarzonych przyjaciółek, powtarzała jakby do siebie - "do dupy na raki łapać szczupaki". Nie wierzyła w ich wyjazd, gasiła ich marzenia jakby celowo. Ja też nie chciałam, by wyjechały, więc trzymałam stronę cioci Leny. Anna nie raz prosiła bym powiedziała jakieś kwestie z mamy sztuk. Ja recytowałam a ciotki tancyły z pełnymi kieliszkami. Ciocia Lena paliła papierosa w długiej, szklanej rurce. Z adapteru przeważnie wychodziły piosenki tak dla mnie niezrozumiałe, że tylko trzeszczące rytmy zdartych przedwojennych płyt próbowały być atrakcją kobiecych spotkań. Ciocia Ania miała sto kapeluszy i 200 torebek. Kilka razy dziennie zmieniała je i przebierała się. Była wdową. Trzeci raz. Ciocie mówiły do niej, kiedy poznała przemiłego Pana w kawiarni na Rynku, by jak najszybciej powiedziała mu że jest zabójczynią. Ciocia Ania kazała się ciociom uciszyć i patrzyła na nie z politowaniem. A ja zastanawiałam się, w jaki sposób aktorka Anna doprowadza swoich ukochanych do niebytu.

Już po roku moja mama dostanie kontrakt w duńskim teatrze i razem z ojcem przywiozą mnie na ten czas do ciotek, i wszystkie pory roku spędzę z tymi kolorowymi ludźmi, wiele ciepłych chwil i wiele bardzo smutnych. Będę częścią wspólnych łez, ale i cukierkowych chwil. O tym opowiem jednak w następnym pamiętniku. Będzie o zapachu węgla na wieczornym spacerze, gdy mróz pod podeszwą buta pierdzi, będzie o szabrowaniu czereśni u sąsiadów, o pieczeniu pierników przed Świętami, a potem szukaniu choinki w lesie z Niemcem z parteru... Będzie pogrzeb babci Niury i smutek przeogromny po jej utracie... Będzie o kłótni Francuza z Grekiem, z którego z tych dwóch lepszy specjalista kopalniany, i o tym, jak krzyczano za nami na cmentarzu żydowskim i dowiedziałam się, że nie każdy chce tutaj moją ciotkę Mirkę... I o teatrze, o teatrze żydowskim, o Annie, która tak pięknie zagrała, a widzieliśmy ją wszyscy w filmie o miłości; Cioce płakały ze wzruszenia, a ja byłam tak dumna, że Anna jest nasza. To tyle na razie. Wszystko inne zdarzy się w swoim czasie..